

Furia

Był ciepły wiosenny poranek. Natura powoli wracała do życia, przebudzona złocistymi promieniami słońca, po wyjątkowo długiej i mroźnej zimie. Spod resztek skrzącego się niczym brylanty śniegu, przebijały się pierwsze kwiaty. Fioletowe krokusy, żółte pierwiosnki oraz białe przebiśniegi, które jasno i dobitnie dawały znać całą swą okazałością, że zima właśnie się skończyła, a zaczął się czas panowania radosnej, przyjemnej i pogodnej wiosny. Ptaki wygrzewały się na gałęziach sosen, modrzewi i świerków rosnących na stromym zboczu góry, starej zresztą chyba jak sam świat, ćwierkając wesoło i beztrąsko podśpiewując.

Wyższe partie zbocza pokryte jeszcze były białym puchem, zaś najwyższe z nich niknęły w rzadkich chmurach i przebijały się przez nie niczym grot dobrze naostrzonej włóczni przez miękkie ciało. Z potężnego masywu emanowała nieopisana moc i siła. Każdy kto uniósł głowę aby spojrzeć na jego wierzchołek czuł potęgę która w nim drzemała. Każdy jego centymetr był budzącym respekt idealnym i groźnym zarazem dziełem matki natury.

Woda w strumieniu akompaniowała ptakom swoim cichym szmerem, tworząc harmonijną melodię przyrody. Łód obmywany wartkim prądem krystalicznie czystej wody zanikł już niemal całkowicie. Tak iż dało się dostrzec głowacze, pstrągi i lipienie, a także łososie płynące w dół, krętego, górskiego strumienia aby dotrzeć na otwarte morze i tam dorosnąć, a następnie powrócić w celu złożenia ikry.

Wciśnięty pomiędzy zbocze góry, a koryto potoku wił się niewielki szlak. Nie było to nic nadzwyczajnego, ot po prostu udeptana ziemia przez koła wozów, kopyta koni i buty podróżnych. Nie był on często uczęszczany co zresztą widać było po stanie w jakim się znajdował. Liczne dziury, wystające kamienie i korzenie w znacznym stopniu utrudniały wszelkim podróżnym poruszanie się po nim.

Owym szlakiem podążał ku północy samotny wędrowiec.

Jego twarz skrywał półmrok zarzuconego na głowę obszernego kaptura, szarego, długiego do ziemi wełnianego płaszcza, spiętego pod szyją prostą stalową klamrą. Dało się spod niego jednak dostrzec poskręcaną w nieładzie gęstą, blond brodę.

Wędrowiec ów narzuconą miał na gołą skórę sięgającą kolan przeszywanicę z długimi rękawami. Była ona już mocno podniszczona i co dało się zauważyć na pierwszy rzut oka swoje najlepsze lata miała już dawno za sobą. Naznaczona licznymi rdzawymi śladami zaschniętej krwi, porozrywana w kilku miejscach, z owczym runem, którym była wypchana na wierzchu. Wyglądała raczej jak jakaś stara, nadająca się jedynie do wyrzucenia szmata, a nie istotny element ubioru chroniącego przed ciosami. Na przeszywanicę narzuconą miał wykonaną z kolczej plecionki kolczugę, sięgającą nieco poniżej bioder z krótkimi do łokci rękawami.

W porównaniu z przeszywanicą, kolczuga wypadła jeszcze gorzej. Więcej było w niej dziur niż plecionki. Wystarczyło tylko dotknąć jej ręką aby pordzewiałe kółka zostawiły czerwony osad rdzy na dłoni. Była w tak złym stanie, że zapewne żaden płatnerz nie podjął by się naprawy tych niezbędnych resztek zbroi.

Wędrowiec przystanął na chwilę. Podniósł głowę wysoko do góry, tak aby móc spojrzeć na prastare szczyty i poczuć drżącą w nich moc. Odetchnął głęboko czystym, przesyconym zapachem rozkwitającej wiosny powietrzem i powolnym ruchem zdjął kaptur z głowy. Długą chwilę przyglądał się potężnemu masywowi po czym zamknął swoje przenikliwe, chłodne niczym morską toń, błękitne oczy. Wydawało się jakby się z nim zespolił i czerpał z niego jakąś przedziwną, nie do opisanego słowem moc. Stał w bezruchu tak długo, aż okoliczne ptaki uznały go za element otoczenia, a jeden z nich nawet usiadł mu na ramieniu.

Błękitnooki podróżnik ocknął się jakby z głębokiego snu. Wzdrygnął się lekko, ale ptak się nie przestraszył, nie odleciał tak jakby to uczynił każdy inny na jego miejscu. Nie był to zresztą zwyczajny ptak. Siedzący na jego ramieniu kruk, był co najmniej dwa razy większy od pozostałych przedstawicieli swojego gatunku. Wpatrywał się uważnie w oblicze wędrowca swoimi pełnymi intelektem obsydianowymi oczami. Kruk nagle odwrócił od niego swój wzrok i zakrakał donośnie. Wejrzał jeszcze raz w błękitną toń oczu podróżnika i tak jakby odnalazłszy w nich to czego szukał, rozpostarł swoje czarne niczym węgiel skrzydła, a następnie wzbił się w przestworza znikając powoli w oddali.

Nieznajomy stał jeszcze chwilę w bezruchu po czym przeczesał dłonią w której na pierwszy rzut oka spokojnie mógłby miażdżyć orzechy długie do ramion jasne, skołtunione, blond włosy. Spojrzał w niebo, przeciągnął się i uśmiechnął szeroko do siebie. Zabieg ten sprawił że

jego twarde, jakby wykute w kamieniu rysy twarzy z mocno zarysowaną szczęką nabrały ciepły i przyjazny wyraz.

Ludzie o podobnych rysach twarzy ukształtowanych przez dziką furję natury jak u podróżujących po niebezpiecznych morzach marynarzy. Żołnierzy, weteranów wielu wojen, którzy przelali morze krwi i widzieli wszelkie okrucieństwa tego świata. Przeważnie swoje lata świetności mieli już dawno za sobą. Samotny podróżnik natomiast wyglądał na góra dwudziestoletniego młodzieńca.

Młodzieniec ruszył powoli przed siebie utykając wyraźnie na lewą nogę. Na jego twarzy pojawił się grymas bólu, a czoło zrosiły drobne krople potu. Podszedł do potoku w miejscu gdzie brzeg pozwalał na to bez zbytniego nadwyrażania rannej kończyny. Wbił w miękki grunt potężny, dwuręczny topór służący mu za kostur, na którym podpierał swoje chwiejne kroki. Uklęknął ciężko na prawym kolanie, po czym nabrał w dłonie orzeźwiająco chłodnej wody i napił się kilkakrotnie. Spływające w dół gardła zimne strugi płynu sprawiły że wędrowiec poczuł jak wstępują w niego nowe siły.

Błękitnooki wstał z trudem, zaciskając przy tym zęby aby nie jęknąć z bólu. Rozpiął kłamrę płaszcz, który opadł swobodnie na ziemię. Zrzucił z siebie kolczugę, jednak tym razem nie udało mu się powstrzymać przepełnionego cierpieniem stęknienia. Rozsupłał powoli rzemienie przeszywanicy po czym ją także zdjął.

Stojąc tak jak stworzyli go Bogowie, jedynie w opasce biodrowej, sam wyglądał niczym jedno z ich ziemskich wcieleń.

Wysoki na prawie dwa metry, postawny niczym stuletni dąb, stojący pewnie na potężnych filarach nóg. Przy każdym jego ruchu, węzły mięśni naprężyły się niczym dobrze skręcone liny okrętowe. Wykuty jakby ze stali tors unosił się miarowo, a szerokie jak u byka barki świadczyły o nadludzkiej wręcz sile wędrowca. Pomimo swojej masywnej postury i rannej nogi jego ruchy były bardzo zgrabne i płynne. Sposób w jaki się poruszał przywodził na myśl dzikie drapieżne koty, z odległych zakątków świata takie jak niesłychanie szybkie lamparty czy zabójcze i nieposkromione jaguary.

Gigant wszedł powoli do potoku, oddając się w objęcia zimnej niczym grudniowy poranek wody. Zanurzył się po samą szyję stając pośrodku wartkiego strumienia. Rozłożył szeroko ręce i oddał się całkowicie rzece. Czuł jak dojmująco chłodny nurt obmywa jego ciało z brudu, pyłu i trudów prawie tygodniowej wędrówki. Błękitnooki stał tak przez parę dobrych minut czerpiąc nieskrywaną przyjemność z takiej kąpeli. Wyszedł jednak powoli z wody gdy poczuł że jego ciało zaczyna coraz szybciej drętwieć.

Wróciwszy na brzeg wytarł się do sucha swoim płaszczem, po czym usiadł nad brzegiem wartkiego potoku. Przyjrzał się uważnie głębokiej ranie ciętej na lewym udzie. To właśnie przez nią potrzebował podpórki niczym posiwiasty i przygarbiony starzec. Rana nie wyglądała najlepiej, i na pierwszy rzut oka wymagała profesjonalnej pomocy. Otwarta, długa na dwanaście palców i szeroka na dwa. Z jej środka wycierały pokryte zakrzepłą krwią ochłapy mięśni i tkanki. Brzegi zaś pokryte były czarnymi ropiejącymi plamami. Gdyby cios który spowodował tą ranę był tylko odrobinę głębszy, rozerwana zostałaby tętnica udowa, co niechybnie zakończyłoby się błyskawicznym zgonem wędrowca.

Wędrowiec nabrał trochę wody w dłonie i przemył nią ranę. Chociaż starał się to zrobić najdelikatniej jak potrafił, czynność ta sprawiła mu nie mały ból.

Oprócz poważnego uszkodzenia uda, szerokie, poziome cięcie przedzielało potężny tors błękitnookiego grubą, brunatno-czerwoną linią zaschniętej krwi. Jedna z jej strużek kończyła się nisko na brzuchu, tuż przy kolejnej ranie. Ta nie wyglądała już tak strasznie, jednakże pomimo swoich niewielkich rozmiarów była o wiele bardziej groźna. W przeciwieństwie do przeciętej klatki, która choć wyglądała bardzo efektownie była tylko raną powierzchowną. Głębokie pchnięcie chyba tylko cudem ominęło wnętrze nieszczęśnika, rozrywając jedynie jego stalowe mięśnie. Ponadto silne zaczerwienie na lewym boku świadczyło o przynajmniej jednym złamanym żebrze. Nie mówiąc już o licznych drobnych skaleczeniach i sińcach którymi usiane było jego ciało.

Gdyby chociaż jedną z tych ran zobaczył medyk, znachor, lub ktokolwiek inny znający się na opatrywaniu ran, niechybnie zszedłby z tego łez padołu na nagły atak serca, widząc w jakim fatalnym są one stanie.

Młodzieniec nie wiedział kto zadał mu tak liczne i poważne rany oraz w jakich stało się to okolicznościach. Ba, nie wiedział nawet jak się tak naprawdę nazywa i skąd pochodzi. Po prostu kilka dni temu ocknął się na szlaku którym właśnie podążał. Nie mając żadnego lepszego wyjścia

postanowił ruszyć przed siebie, w stronę płynącego wysoko po niebie słońca.

Błękitnooki wstał powoli po czym ponownie ubrał się w zniszczoną przeszywanicę i kaftan kolczy. Przerzucił przez ramię mokry płaszcz którym się wycierał. Następnie podszedł do uprzednio wbitego w miękką ziemię topora, będącego jedyną rzeczą która wyglądała porządnie i nie wymagała żadnych napraw. Wyszarpnął go z niej, ponownie opierając na nim swoje kroki. Młodzieniec odwrócił się od potoku, i ruszył ponownie szlakiem wiodącym ku północy.

Po mniej więcej trzech godzinach spokojnego marszu, kiedy słońce stało w zenicie, wędrowiec zbliżał się powoli do miejsca w którym szlak ostro zakręcał. Usłyszał on dobiegające zza niego rozbawione ludzkie głosy. Na początku ruszył w ich stronę mając nadzieję że znajdzie tam tak bardzo potrzebną pomoc medyczną i trochę stawy. Przystanął jednak po kilku krokach. Coś nie dawało mu spokoju, po głowie kołatała się jakaś samotna myśl nakazująca najwyższą ostrożność, a zmysły samoistnie się wyostrzyły. Podszedł ostrożnie jeszcze kilka kroków po czym zaczął uważnie nasłuchiwać.

Śmiech który usłyszał błękitnooki, i w pierwszej chwili wydał się dla niego zachętą, nie był z rodzaju tych który można usłyszeć w gronie przyjaciół. Wesoły i ciepły, doprawiony od czasu do czasu jakąś złośliwą nutką lub odrobiną alkoholu i dobrej zabawy. Okazał się natomiast przepelnionym brutalnością i sadyzmem rechosem jaki wydają z siebie oprawcy pastwiący się nad swoimi bezbronnymi ofiarami. Po chwili dołączył do niego przerażony krzyk kobiety. Szyderczy rechosem wzmógł się zagłuszając ją całkowicie. Powietrze przeszło natomiast długie, przeraźliwie potępieńcze wycie, w którym zawarty był ból nie do opisania. Do ledwo wyczuwalnej woni dymu doszedł wyraźny odór stopionego tłuszczu i spalonego mięsa. Niebo wcześniej bez chociażby jednej chmurki zaczynało powoli ciemnieć. Nawet wesoło poćwierkujące ptaki umilkły, wystraszone dramatem rozgrywającym się pod nimi.

Nie było innej drogi. Chcąc nie chcąc wędrowiec musiał iść dalej obranym szlakiem. Jedyną inną opcją jaka przychodziła mu do głowy to poczekać aż scena dziejąca się tuż obok niego zakończy się. Nie miał jednak pewności w którą stronę oddalą się oprawcy, i czy nie wejdą prosto na niego. W swoim aktualnym stanie nie uciekłyby im daleko. Postanowił więc działać i wykorzystać element zaskoczenia. Podszedł powoli do załomu i wyjrzał zza niego ostrożnie.

Jego oczom ukazały się dwa powalone w poprzek drogi drzewa. Nie była to być może duża przeszkoda dla pieszego podróżnego, jednak dla wozu okazała się wystarczająca. Solidny czterokołowy wóz z wysokimi burtami, stał wyprzęgnięty z koni tuż przy zaporze. Dookoła niego walały się porozrzucane beładnie puste beczki, służące zapewne do transportu wina lub piwa.

Przy jednym z litych drewnianych kół, kuliła się przerażona starsza kobieta. Była w nie wciśnięta tak mocno jakby chciała je przepchnąć i uciec jak najdalej od tego miejsca. Z jej oczu wycierał zwierzęcy strach. Rozpaczliwie próbowała zasłonić nagie, lekko już obwisłe piersi strzępkami niegdyś ciemnoniebieskiej sukni. Obecnie była ona jednak cała umazana w błocie i krwi obficie spływającej z rozbitej brwi. Stało przy niej dwóch mężczyzn odzianych w grube kubraki z owczej wełny i futrzane czapy. Śmiali się głośno do siebie i mówili coś w niezrozumiałym, przypominającym wilcze powarkiwanie języku. Wyższy z nich zdzielił mocno kobietę drzewcem włóczni. Ta skuliła się jeszcze bardziej i zaczęła spazmatycznie szlochać. Niedaleko od niej, na dużej skrzyni do przewożenia ubrań, siedział zwalisty góral z szeroką szramą na twarzy. Sądząc po bogatszym od reszty stroju, był on hersztem bandy która napadła wóz. Potarł swój zarośnięty gęstą szczecina policzek powolnym, jakby znużonym ruchem. Wypowiedział kilka słów w tej samej niezrozumiałej mowie jaką posługiwała się poprzednia dwójka. Jednak nie były one skierowane do kobiety, lecz mężczyzny w podobnym do niej wieku.

Kłęcząc on dysząc ciężko, podtrzymywany przez kolejną dwójkę rozbawionych drabów uzbrojonych w podrdzewiałe kordy. Wybełkotał coś niezrozumiale, patrząc przy tym błagalnie na przywódcę zbójców. Ten jednak najwyraźniej nieusatisfakcjonowany uzyskaną odpowiedzią wstał energicznie. Ciężka dębowa skrzynia na której siedział niemalże przewróciła się przy tym gwałtownym ruchu. Kiedy znalazł się na wyciągnięcie ręki od przestraszonego mężczyzny, uderzył go znienacka w brzuch głowicą trzymanego w dłoni miecza. Ten upadł ze zduszonym jękiem na ziemię, wypuszczony z objęć trzymających go górali. Rozbawieni niemalże do łez, zaczęli kopać po żebrach swoją ofiarę która próbowała bezradnie osłonić się przed ciosami. Krótkie warknięcie wodza przywołało ich do porządku. Przeszli kopać swoją ofiarę i brutalnym szarpnięciem za niegdyś ciemnobrązowe, a teraz przyprószone już siwizną włosy poderwali nieszczęśnika z powrotem na kolana.

Herszt bandytów podszedł do pobliskiego ogniska, rozpalonego z porąbanych na szczapy

beczek. Wyciągnął w jego stronę ręce. Stał tak krótką chwilę przyglądając się strzelającym na wszystkie strony iskrom. Wydawało się jakby zapomniał o całym otaczającym go świecie. Kiedy odwrócił się od ognia jego twarz zdobił szeroki, złowieszczy uśmiech. Kiwnął na kolejną trójkę swoich ludzi.

Stali oni nad siedzącym na ziemi młodym, może piętnastoletnim chłopcem. Jego oczy były czerwone od łez, z rozciętej wargi powoli sączyła się krew. Dziecko kiwało się w przód i w tył. Do brzucha mocno przyciskało lewą rękę. Skóra na niej była cała krwistoczerwona, a gdzieś widać wręcz spalona na węgiel. Liczne bąble dopełniały tego makabrycznego widoku. To ono wydobyło z siebie ten zwierzęcy okrzyk bólu który usłyszał błękitnooki, a charakterystyczny zapach spalenizny był efektem tortur górskich bandytów.

Jeden ze zbójców chwycił chłopaka za rękę chcąc postawić go na nogi. Odkoczył jednak od niego pełen obrzydzenia, a powietrze przeszyło kolejne potępieńcze wycie. Góral popatrzył z odrazą na swoją rękę. Trzymał w niej płaty spalonej skóry chłopca. Odrzucił ją zniesmaczony jak najdalej po czym kopnął go kilkukrotnie w twarz. Pozostała dwójka śmiejąc się donośnie ze swojego kamrata chwyciła związające się z bólu dziecko za nogi i zaciągnęła pod ognisko.

Starszy mężczyzna widząc to krzyczał rozpaczliwie. Był to zapewne jego syn. Próbował się wyrwać z objęć przytrzymujących go bandytów. Jednak ich przywódca zaśmiał się tylko i ponownie skinął na swoich ludzi. Poderwali brutalnie chłopca z ziemi. Ten nie sprzeciwiał się nawet, pogodzony całkowicie ze swoim losem. Zwiął jedynie luźno w ramionach swych oprawców. Góral który pozbawił go skóry na rękę podszedł do niego z zakrzywionym nożem w dłoni. Chwycił chłopca za jasną jak mleko blond czuprynę i pociągnął mocno do tyłu. Wpatrywał się długo w jego niewinne, przepełnione cierpieniem niebieskie oczy tak, jakby był zahipnotyzowany. Przynaglony zniecierpliwionym warknięciem wodza otrząsnął się z odrętwienia które go ogarnęło i wbił z rozmachem nóż w oczodół chłopca wyłupiając mu oko. Jeden z podtrzymujących dziecko oprawców rozgniół potężnym butem toczącą się po ziemi gałkę śmiejąc się donośnie. Drugi popchnął chłopca w stronę ognia tak że całą jego lewą stronę ciała objęły płomienie. Przytrzymując go nad płomieniami wręcz rozkoszował się jego cierpieniem i widokiem palonego na węgiel ciała.

Brązowowłosa mężczyzna widząc całą tą scenę chciał się najpierw rzucić na bestialskich górali, jednak silny cios w kark błyskawicznie osadził go na miejscu, pozbawiając przytomności. Kobieta wtulona w koło od wozu próbowała wstać z ziemi krzycząc coś przez łzy. Jednak kolejny cios drzewcem włóczni, tym razem o wiele mocniejszy powalił ją z powrotem.

Najmłodszy z bandytów, stojący na czatach tuż przy zakręcie zza którego wyglądał Błękitnooki przyglądał się w osłupieniu temu co się przed nim działo. Na oko był bardzo podobny do brutalnie przypalanego chłopca, jedynie jego włosy były czarne jak u reszty górali. Trzymana przez niego włócznia wyślizgnęła mu się z rąk. Porażony sadyzmem towarzyszy nie mógł nawet drgnąć z miejsca. Jego wargi poruszały się jedynie w niemej modlitwie.

Patrząc jak bandyci najpierw pozbawiają chłopca oka, a następnie palą go żywcem Błękitnooki poczuł jak coś w nim pęka. Najpierw przeszła po nim od stóp do głowy fala gorąca, rozchodząc się po całym ciele. Czół wyraźnie jak wzbiera w nim nieopisana wściekłość, zamieniająca się powoli w dziką, nieposkromioną furję. Jego oczy, zazwyczaj przypominające kolorem morską toń, przybrały barwę chłodnej stali, spragnionej krwi. Wstąpił w niego prawdziwy demon łaknący jedynie śmierci potworów torturujących bezbronne dziecko. Rzucił z wściekłością trzymany na ramieniu płaszczem o ziemię. Chwycił pewnie w obie ręce topór służący mu wcześniej za kostur. Wybiegł zza zakrętu rycząc niczym rozjuszony niedźwiedź. Był to ryk tak potężny i przerażający że wszystkie ptaki wcześniej będące niemymi świadkami dramatu puciekały z gałęzi drzew, a stojący najbliżej niego góral pełniący rolę czujki, posikał się ze strachu.

Wędrowiec pędził niczym wiatr, gnany jedynie niepokonowaną rządną mordą. Nie odczuwał bólu promieniującego z rany na udzie która utrudniała mu nawet zwykły chód. Cały jego świat skurczył się do obrazu wijącego się w objęciach płomieni dziecka.

Młody zbójnik widząc pędzącą ku niemu jasnowłosego olbrzyma, rodem z najmroczniejszych legend i sag, dzierżącego potężny topór dwuręczny upadł na ziemię związając się w kłębek. Gigant przebiegł obok niego nie poświęcając mu nawet jednej chwili. Kiedy znajdował się w połowie drogi do oprawców, na wozie pojawił się kolejny góral. Zapewne było on zajęty poszukiwaniem ukrytych w nim kosztowności. Uzbrojony w krótki łuk myśliwski stanowił obecnie największe zagrożenie dla szarżującego blondyna. Biorąc pod uwagę odległość jaka została mu do pokonania, jak i wprawę z jaką łucznik zakłada strzałę na cięciwę, Błękitnooki doszedł do wniosku że zdąży on wystrzelić aż trzy razy. Potem gdy zacznie się już walka wręcz

ryzyko postrzelenia któregoś z towarzyszy byłoby zbyt duże.

Cichy brzęk cięciwy zagubił się wśród wrzasków zaskoczonych herszta, próbującego ustawić swoich ludzi. Pierwsza strzała świsnęła wędrowcowi tuż nad głową, a jej lotki delikatnie musnęły jego włosy. Druga, wymierzona niżej, wbiła się głęboko w pierś, trafiając akurat w jedną z licznych dziur kolczugi. Mimo tego olbrzym nie zwolnił biegu, pchany dalej do przodu opętany nienawistnym szałem.

Gdy bandyta naciągał cięciwę po raz trzeci, coś zakotłował się na wozie. Jak spod ziemi wyrosła tuż przy nim młoda dziewczyna w ciemnozielonej sukni z długim do pasa jasnobrązowym warkoczem. W jej rękę błysnęła klinga długiego noża który wbiła pod żebro bandycie z łukiem wkładając w to całą swoją siłę. Ten krzyknął z bólu i upuściwszy broń odwinął się uderzając ją zaciśniętą pięścią. Dziewczyna poleciała ciężko do tyłu uderzając głową o wysoką burtę wozu.

Z całkowicie już zasnutego ciężkimi, łożnianymi chmurami nieba zaczęły spadać pierwsze krople deszczu.

Wiedząc że kolejna strzała już go nie dosięgnie, Błękitnooki przyspieszył jeszcze bardziej. Gdy znalazł się mniej więcej o pięć kroków od stojących w osłupieniu bandytów, uniósł topór wysoko nad głowę, chcąc rozplatać najbliższego z nich potężnym cięciem.

Kiedy oręż zaczął już opadać w stronę czerepu niemogącego się ruszyć ze strachu górala, wędrowiec potknął się o wystający z nierównej drogi kamień.

Udało mu się jednak sprawnie zmienić kierunek ciosu tak, iż lewą ręką złapał drzewce topora tuż przy samym żeleźcu, przyciągając je do swojej klatki piersiowej. Poddawszy się sile grawitacji, olbrzym poleciał w stronę przeciwników, wzmacniając ją dodatkowo mocnym wypchnięciem obu ramion do przodu. Pchnięcie trzymanej poziomo broni powaliło na ziemię dwóch bandytów, miażdżąc nos jednemu z nich. Chroniąc się przed upadkiem w błoto, Błękitnooki zwinął się w kłębek robiąc przewrót przez prawe ramię, po czym wstał płynnie wyprowadzając jednocześnie pionowe cięcie z półobrotu. Ostrze świsnęło złowieszczo, rozcinając powietrze tuż przed twarzą herszta.

Ten odskoczył przerażony. Zaczął wykrzykiwać niezrozumiałe rozkazy wzmacniając siłę przekazu kilkoma solidnymi kopniakami. Górcy zbójcy otoczyli wędrowca luźnym kręgiem. Jednak żaden z nich nie palił się zbyt do ataku.

Po okolicy rozniósł się gniewny pomruk burzy. Pojedyncze krople deszczu spadające na ziemię, szybko zmieniły się w rzęsistą ulewę.

Stojąc otoczony przez bandytów, wędrowiec czuł jak furia która dała mu moc i siłę do działania, powoli z niego uchodzi. Wyrwał sterczącą z klatki piersiowej strzałę. Na szczęście nie miała ona haczykowatego grotu który ma za zadanie rozerwać ciało nieszczęśnika trafionego takim pociskiem. Płuca pompowały powietrze do osłabionego organizmu niczym dwa potężne miechy, objając się boleśnie o złamane żebro znacznie utrudniające normalne oddychanie. Rana na udzie płonęła żywym ogniem, wypływająca z niej obfita, rubinowa struga krwi spływała w dół nogi. Górale poczuli się nieco pewniej widząc jak przypominający bardziej demona, niż człowieka olbrzym krwawi. Dało im to nadzieję że jednak dadzą radę go zabić. Mimo to żaden z nich w dalszym ciągu nie kwapił się do walki.

W końcu jednak do środka kręgu wszedł mężczyzna z rozbitym nosem, którego podróżnik wcześniej powalił na ziemię. Splunawszy krwią wymieszaną ze śliną rzucił się na jasnowłosego giganta unosząc wysoko w górę trzymany w ręku tasak. Jednak wyglądało na to że wędrowiec nic sobie nie robi z jego szarży. Wydawało się, że nisko trzymany przez niego topór, obrócony drzewcem w stronę atakującego zaraz wyslizgnie mu się z dłoni, upadając w błoto. Przeciwnik zbliżał się coraz bardziej, a jednak stojąc na szeroko rozstawionych nogach, podróżnik wpatrywał się tylko w rozmiękły grunt. Lecz kiedy Błękitnooki poczuł na policzku nieświeży oddech bandyty jego dłonie zacisnęły się mocno na masywnym drzewcu. Poderwał gwałtownie głowę, spoglądając prosto w oczy przestępcy. Topór pomknął do góry niczym strzała. Olbrzym wyłapał pionowe cięcie na drzewiec, po czym tym samym płynnym ruchem obrócił broń wbijając znajdujący się po drugiej stronie ostrza nadziak aż po samą jego obsadę w serce górala.

Mężczyzna upadł ciężko na kolana wpatrując się z niedowierzaniem w wypływającą z jego klatki piersiowej pulsującą strugę krwi. Tasak wyslizgnął się z jego sękatą dłoni. Ostatnią myślą górskiego bandyty było to, że szkoda umierać w tak paskudną pogodę. Następnie cały otaczający go świat pogrążył się w niezmierzonej ciemności.

Wędrowiec nie miał jednak czasu przyglądać się konającemu przeciwnikowi. Ruszył przed siebie czując jak jego serce ponownie przepętnia żądza krwi i mordy.

Pierwszy z bandytów nie zdążył nawet mrugnąć gdy skośne cięcie z góry na dół niemalże go rozpołowiło. Zbryzgany tryskającą juchą z rozplatanego zbójnika Błękitnooki doskoczył do kolejnego przestępcy, potężnym ciosem pięści w szczękę powalając go na ziemię. Wypluwający zęby, góral próbował się podnieść, jednak olbrzym przycisnął go ponownie do ziemi, po czym krótkim cięciem uwolnił jego ramiona od zbędnego ciężaru głowy. Olbrzym usłyszał za swoimi plecami przepełnione nienawiścią wycie. W tym samym momencie poczuł chłód w prawym boku, tuż poniżej żeber. Obejrzawszy się za siebie zobaczył wystającą ze swojego ciała krótką włócznię trzymaną przez mocne ręce kolejnego z bandytów. Niewiele myśląc, wykonał pchnięcie trafiając przeciwnika czubkiem ostrza w gardło. Wydawało się jakby cios ledwo co dosięgnął celu, lecz po chwili z przebitej tętnicy bluznęła fontanna krwi. Wyszarpnąwszy włócznię, wędrowiec wziął szeroki zamach i rzucił nią w kierunku bandyty stojącego na wozie który szykował się do oddania kolejnego strzału. Siła rzutu była tak potężna, że trafiony w pierś łucznicz został przyszpilony do przeciwległej ściany pojazdu na którym się znajdował.

Pozostała czwórka oprawców ruszyła na potężnego blondyna pałając żądzą zemsty za śmierć swoich kamratów. Topór ponownie zaśpiewał swoją pieśń śmierci, przecinając na pół włócznię górala, jednocześnie odcinając mu dłoń i wbijając się głęboko w korpus. Jednak kolejny cios tym razem współpracujących ze sobą zbójców dosięgnął młodzieńca. Kółka z rozciętej kolczugi posypały się na ziemię a z rannego ramienia wypłynęła wąska stróżka krwi. Pozostali przy życiu bandyci postanowili zasypać olbrzyma gradem ciosów. Błękitnookiemu udało się sparować większość z nich, jednak nie herszta, który zaszedł go od tyłu i wbił miecz głęboko w jego lewą goleń po czym odskoczył na bezpieczną odległość. Wędrowiec upadł ciężko na lewe kolano. Postanowił to wykorzystać uzbrojony w nabijaną ćwiekami maczugę postawny góral. Nie zdążył jednak zrobić nawet dwóch kroków gdy błyskawiczne cięcie wbiło mu się w bark, dochodząc aż do mostka. Wyszarpnąwszy topór z nieprzyjemnym mlaśnięciem, chłopak wstał z ziemi opierając się ciężko na nim. Pomimo furii i nienawiści która dodawała mu siły rany ponownie zaczęły mu doskwierać. Czuł jak z każdą wypływającą z niego kroplą krwi staje się coraz bardziej słaby.

Herszt skinął na swojego ostatniego podwładnego, nie licząc oczywiście dalej skulonego ze strachu chłopca leżącego tuż przy zakręcie drogi. Zakapior zaczął ostrożnie podchodzić do rannej bestii. Gdy już zadawał cios którym miał być śmiertelny dla blondyna, ten wkładając w to ostatek swoich sił wykonał niezgrabny piruet, tak iż znalazł się za plecami przeciwnika. Poziome cięcie przerwało kręgosłup, a bandyta runął na ziemię jak rażony piorunem.

Z marsowego nieba w końcu przestał padać deszcz. Natomiast przyszywały je liczne pioruny. Powietrze rozrywał co chwilę potężny ryk gromu, tak jakby sami Bogowie wyrażali swój podziw nad krwawym dziełem tajemniczego podróżnika.

Z całej bandy został tylko jej przywódca. Sprawca wszystkich cierpień dziecka którego do połowy spalone zwłoki leżały tuż obok ogniska. Skrzyżowawszy na chwilę spojrzenie z wędrowcem skulił się w sobie. W jego stalowych oczach dostrzegł jedynie swoją śmierć. Młodzieniec ruszył ku niemu, podpierając swoje chybotałe kroki na drzewcu topora. Herszt znalazłszy w sobie nowe pokłady odwagi rzucił się w jego stronę rycząc dziko. Blondyn sparował jego wściekły atak, jednocześnie wytrącając mu z dłoni miecz. Zwalisty góral cofnął się o krok, przerażony potknął się o ciało jednego ze swoich towarzyszy. Zaczął pełzać szybko w stronę leżącej na ziemi włóczni. Nie zdążył jednak po nią sięgnąć gdyż olbrzym wcisnął jego twarz w kałużę. Trzymał jego głowę tak długo pod wodą aż jego pragnące powietrza ciało zwiotczało, a ręce przestały drapać ziemię.

Olbrzym zwrócił głowę w stronę nieba z którego na jego chwałę rozległy się kolejne rozdzierające powietrze gromy. Młodzieniec jakby w odpowiedzi na pochwałę Bogów również wydobył ze swojej piersi potężny, przerażający ryk. Zbryzgany juchą od stóp po czubek głowy, rozłożył szeroko ręce wdychając przesycone zapachem burzy powietrze. Uspokoił powoli oddech uwalniając się z objęć dzikiego szału. Szaro-stalowe oczy ponownie przybrały barwę morskiej toni. Kiedy chciał się odwrócić w stronę wozu aby zobaczyć co z ludźmi którym ruszył na pomoc, jego ciało przeszył kolejny cios.

Jasnowłosy gigant upadł na kolana z grotem włóczni wystającym z piersi. Wkładając w to olbrzymi wysiłek odwrócił głowę spoglądając do tyłu, skąd nadszedł cios. Pchnięcie który miał pozbawić go życia nie nadszedł z ręki prawdziwego wojownika, czy choćby dorosłego mężczyzny. Zadał je młody chłopak, ten sam który posikał się ze strachu na sam jego widok i skulił w kłębek pełen przerażenia. Wyrostek wyszarpnął włócznię z ciała wędrowca. Przyglądał się jej jakby niedowierzająca w to co zrobił. Jednak gęsta, ciemnoczerwona krew pokrywająca grot nie chciała z niego zniknąć, a rana zasklepić się. Broń wysunęła się z rąk dziecka, które przyglądało się im z

mieszaniną strachu i obrzydzenia. Gdy wędrowiec wejrzał głęboko w jego oczy ten nie mogąc wytrzymać przenikliwego spojrzenia błękitnych oczu najpierw wybuchnął histerycznym, niepohamowanym płaczem, po czym odwracając się na pięcie uciekł co sił w nogach.

Coraz bardziej słabnące mięśnie nie potrafiąc już dłużej utrzymać potężnego ciała na klęczkach rozluźniły się. Bezwładne ciało podróżnik upadło ciężko na plecy, prosto na rozmiękły grunt. Wypływająca obficie z licznych ran krew zabarwiła ziemię na szkarłatny kolor. Błękitnooki pomyślał że to prawdziwe zrzędzenie losu zakończyć żywot od ciosu zadanego przez dziecko, gdy chwilę przed tym pokonało się ośmiu dorosłych mężczyzn. Wydawało się jakby cały świat zwolnił, wpatrzony w jego samotną śmierć. Odgłosy grzmotów zaczęły dochodzić jakby zza grubej ściany, a niebo powoli zaczęło się rozmywać. Jednak pomimo tego młodzieniec widział wyraźnie spływającą ku niemu prosto z chmur dziwną postać. Z całą pewnością nie był to zwykły człowiek. Ludzie zazwyczaj nie mają ogromnych, czarnych niczym noc skrzydeł. Tajemnicza postać wylądowała lekko na ziemi. Gdy podchodziła do konającego wędrowca wydawało się jakby jej stopy w ogóle nie stykały się z błotnistym gruntem. Zbliżywszy się już na tyle, że młodzieniec mógł rozpoznać jej rysy twarzy przystanąła na chwilę.

Tajemnicza postać okazała się piękną, młodą dziewczyną. Jej długie kruczoczarne włosy falowały na wietrze. Gorset z doszytymi stalowymi płytkami podkreślał jej smukłe kształty i eksponował pełną pierś, zdolną rozpaść zmysły niejednego z mężczyzn. Dziewczyna uklękła tuż przy olbrzymie uśmiechając się smutno. Jej piwne oczy pełne nieklamanej troski wpatrywały się w niego intensywnie.

Wziąwszy wędrowca w objęcia pocałowała go delikatnie swoimi słodkimi niczym miód ustami. Następnie wstała powoli wciąż trzymając jego ciało na rękach, tak jakby nic nie ważył. Wpatrując się wciąż w niego zaczęła wznosić się z powrotem ku pochmurnemu niebu. Gdy byli już wysoko nad ziemią zaczął krążyć nad nimi kruk, kracząc głośno. Był to ten sam ptak który usiadł wcześniej na ramieniu Błękitnookiego. Dziewczyna przestała wznosić się ku górze, jakby na coś czekała. Nagle wokół kruka pojawiła się gęsta, czarna mgła zasnuwając go całkowicie.

Z mrocznych oparów, w towarzystwie potwornego ryku gromu, wyłonił się stary mężczyzna z długą, siwą brodą. Ubrany w pyszną zbroję płytową, dzierżył w dłoni potężną, bogato zdobioną włócznię. Wysoki na ponad dwa metry, potężnie zbudowany, z jednym okiem przesłoniętym opaską budził szacunek u każdego kto na niego spojrzał. Wyraźnie było czuć emanującą od niego aurę władzy i siły, która zawsze towarzyszy ludziom o niepodważalnym autorytecie.

Dziewczyna skłoniła przed nim głowę w pokorze. Wydawało się jednak że ten nie zwrócił na ten gest nawet najmniejszej uwagi. Jego wzrok skupiony był na trzymanym przez nią w ramionach młodzieńcu. Gdy przyjrzał mu się dokładnie wznosił włócznię wysoko nad głowę, a niebo rozdarła błyskawica. Położywszy dłoń na czole Błękitnookiego starzec przemówił głębokim, basowym niczym pomruk burzy głosem.

- Einarze, twój czas jeszcze nie nadszedł. Jeszcze nie nastąpiła chwila w której dołączysz do poległych w chwale braci. Twoje przeznaczenie musi się wypełnić.

Po tych słowach mężczyzna zamienił się z powrotem w kruka i pośród gęstych niczym dym oparów odleciał w stronę przejaśniającego się powoli nieba. Wędrowiec stracił zaś przytomność, odpływając w niebyt.